№ 30. Warszawa, dnia (11) 23 Lipca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Bodajeś był prorokiem. Czego nie mogę w sobie wyrobić, to doktorskiej obojętności na śmierć. Pamiętam raz, pod nożem Schonemanna zmarła młoda kobieta, której raka w gardle operował. Było nas kilkoro studentów przy tem. Nadrabiali miną, a może i naprawdę nic ich to nie obchodziło; Schonemann do okna podszedł, w szybę pobębnił i tylko ramionami ruszył. A mnie płakać się chciało, wolałabym sama kipnąć! Brr!

— Ten Schonemann stary, młody? — zagadnął.

— Nie stary. O! to mistrz-chirurg. Chciałabym tem być, co on!

— To ten, co Włodzio dowodzi, że się w nim kochasz.

— A ten — odparła obojętnie. — Nie lubił, nie cierpiał studentek, nie dla żadnych uprzedzeń; wyższy jest nad to, ale dowodził, że do chirurgii brak im siły fizycznej. Bo to czasem bywają operacye, gdzie tylko siła coś znaczy, no i nerwy trzeba oswoić, by się nie wahać, ciąć, ciągnąć, gdy ciało z bólu aż, zda się, kurczy! Wtedy każdej studentce aż wargi zbieleją i ręka drży. Gniewał się i złościł, precz odpędzał, i zawsze do mnie się zwracał: „panna Ozierska—sie sind doch Mensch — naprzód! tamte mi tylko zepsują robotę! No, pokaż pani siłę—zimną siłę." Przezwali mnie nawet: „zimna siła."

Kazio słuchał w milczeniu idąc za nią.

Słońce wstawało, gwar ptaszy budził się po polach i łąkach wonnych, dochodzili błot, środkiem których ruczaj się wił; świat był bardzo piękny i chłopak był rozmarzony, a tu ona opowiadała o operacyach, z zapałem i przejęciem. Więc go ogarniała rozpacz i żal do niej.

— Tybyś i mnie tak pokrajała z satysfakcyą, z zimną siłą, na pokaz temu Schonemannowi!—burknął rozdrażniony.

Obejrzała się.

— Czegoś ty taki zły? Naprawdę, Włodzio ma racyę—tyś się zmienił. O niczem z tobą nie można mówić.

— Jakto o niczem. Czy oprócz rzeźniczych popisów niema już więcej tematów? Co mnie może obchodzić twoje kokietowanie jakiegoś Schonemanna lancetem i skalpelem.

— Tyle co mnie twoje Simenthalery, merynosy i Sacki. Słucham z zajęciem o twoim fachu.

— Niech licho to wszystko zabierze!

— Będziemy zatem milczeć, bo ja o ludziach znajomych mówić nie umiem, gazet politycznych nie czytam, nowin towarzyskich nie posiadam.

Zawstydził się swego wybuchu.

— Ty mi wybacz! Jestem bo znerwowany i rozstrojony—rzekł.

— Cóż ci się stało?

— Ot, obmierzło mi wszystko. Pracuję, morduję się i poco—dla kogo?

— Widzisz, to mi przypomina com ci miała mówić. Matka twoja uczyniła mi wymówkę, że jeśli się nie żenisz, to z winy mego zgubnego wpływu. Jeśliś jej to wmówił, toś kłamał. Kiedym ja ciebie odwodziła od małżeństwa?

Zwróciła się do niego i stanęła, patrząc mu prosto w oczy.

— A czyś ty pomyślała kiedy, że ja się ożenię?—odparł.

— Nie—rzekła szczerze. — Nigdy mi to do głowy nie przyszło.

— A gdyby się to stało, nie byłoby ci przykro?

Zastanowiła się, zupełnie szczerze badając siebie.

— I to mi nigdy do głowy nie przyszło!— powtórzyła.—Ale, naprawdę, zwykłą koleją to przyjść musi.

— Może masz dla mnie partyę? — spytał gorzko.

— Także przypuszczenie! Weźmiesz sobie jaką pannę ładną i posażną, jak każdy, i będzie wam dobrze.

— Bardzom ci wdzięczny za zdanie i radę, ale nie spełnię. Nie wezmę „jak każdy" pierwszej lepszej panny, bo mam jedną wybraną, a że ona mnie nie chce, więc zostanę sam.

— Czemuż ona ciebie nie chce?

— Bo za mało jej dać mogę, i sercam nie potrafił zdobyć.

Pokręciła głową.

— No, no, i zakochałeś się tak bardzo? Patrzcie no!

— Radaś temu?—zagadnął.

— Nie! — odparła szczerze. — Obcy mi się zdajesz i dalszy.

Ruszyła znowu zamyślona i po chwili się ozwała:

— Że też to każdy odbyć musi. Ciekawam, czy ja uniknę. Chyba! Żeby się zakochać, trzeba przecie mieć choć trochę illuzyi, krztę ideału uchować na nagiej prawdzie, a ja zawsze tylko prawdę widzę. A ty jakże?—kochasz ją bo piękna?

— Nie—kocham, bo jest człowiekiem, i w duszę mi wrosła.

— I nie pożądasz jej może? — rzekła ironicznie.

— Owszem, przecie homo sum. Alem ją ukochał dla duszy jej przedewszystkiem.

— Chciałabym wierzyć, ale trudno—mruknęła.

— Powinieneś to wyznać matce! — rzekła po chwili.—Niechby ze mnie winę zdjęła.

— Ja zwykłem zwierzać się tylko tobie,— nikomu więcej.

— No, teraz to ci rady dać nie potrafię. Cierp sam.

— Ja nie cierpię. Ba! żebyś wiedziała jak dobrze jest kochać, tobyś mi zazdrościła. Takim bogaty jak monarcha. Mam moją wybraną...

— Która ciebie nie chce.

— Ale i innego nie kocha. Śpi jej serce jak królewna z bajki.

— Aż ją zbudzi jaki królewicz elegant.

— Nie. Ona takiego nie weźmie, i taki się na niej nie pozna. Moja będzie, albo niczyja.

— Wiesz, że pleciesz jak w gorączce.

— Obyż i na ciebie przyszła taka gorączka. Wtedy, ha, wtedy!

— Byłoby dwoje waryatów.

— Nie—byłoby dwoje szczęśliwych.

Spojrzała na niego, ruszyła ramionami; zdumienie, gniew, odbiło się w twarzy.

— Słowo daję, co z tobą się dzieje! Patrzysz na mnie taki rozpromieniony, jakbym ja była tą wybraną.

— Ano, naturalnie że ty! Któż inny?

— Ja? ty się kochasz we mnie?

— Czy mi nie wolno?

— A coś zapewniał zeszłego roku w Warszawie?

— Zapewniałem, bom nie wiedział co czuję i jak. A teraz wiem.

— I oświadczasz się mnie?

— Nie.

— Ofiarowujesz serce i rękę?

— Ręki nie. Serce tak. Twoje jest.

— Oszalał. Potrzebne ci to i mnie także! Miałam kolegę, bratnią duszę, a teraz czem ty jesteś dla mnie?

— Zostanę bratnią duszą!

— Dziękuję ci! Już nie wierzę.

Żachnęła się niecierpliwie.

— Słuchaj, ty się opamiętaj i wybij to sobie z głowy. To jest taki absurd, że to ci minie, gdy się zastanowisz. Spytaj kogo chcesz, czy ja jestem panną do wzbudzenia miłości! Sam nie wiesz, co pleciesz. Wyobraź sobie, żebyś matce to powiedział.

— Daj mi święty spokój. Nikomu nie powiem, ale też się nie zmienię. Co ci to szkodzi, alboż ja cię proszę o wzajemność. I owszem, niech cię nikt nie kocha, ani ty nikogo. Dlategom cię upodobał sobie. Człowiek solidny jesteś i dumnym z ciebie. Idź swoją drogą, zdobyłaś ją, teraz przed tobą świat otworem. Trzeba mi było powiedzieć ci prawdę, żebyś nie dziwiła się, żem czasem chimeryczny teraz i nie swój, ale już więcej nic ci nie powiem. Skończone — stało się. Możesz sobie wyrzucić z pamięci całą rozmowę.

— Głupiś!—albo to można. Zabiłeś mi dopiero ćwieka w głowę. Wiesz, wartoby Włodziowi szepnąć o tem. Tenby dopiero cię wyleczył.

— Jestem spokojny, że tego nie zrobisz.

— Dlaczego?

— Bom ci powierzył swe serce nie na zabawę, a tyś za poważna i zbyt rzetelna żeby zdradzać czyjeś zaufanie dla żartów! Chodźmy na kaczki.

— Daj mi spokój. Właśnie mi kaczki w myśli. Wracam do domu.

— Po co? Tu za wierzbą codzień stadko żeruje.

— To żeruj sam z niemi. Ja jestem zła, i żebym się nie hamowała, nagadałabym ci impertynencyi.

— Staśko, przeciem cię nie obraził, ani ubliżył.

— Et, idź szukać rozsądku, coś zgubił. Mam cię za niepoczytalnego!

Zawróciła się i poszła ku domowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRANCISZEK CHATEAUBRIAND.

Wspomnienie historyczne.

(Ciąg dalszy).

Karyera dyplomatyczna Chateaubrianda za restauracyi była krótka. Ani on dla tego rządu, ani ten rząd dla niego. Ten, którego pismo „O Bonapartym i Burbonach" rozrzucone jeszcze przed wejściem sprzymierzonych do Paryża, wedle własnych słów Ludwika XVIII, więcej dla monarchii legitymistycznej zdziałało, niż stutysięczna armia, ten sam człowiek nie był dla restauracyi dosyć prawomyślnym, a raczej mówiąc po prostu, nie miał potrzebnej giętkości, fanatyzmu i politycznego krótkowidztwa. Jemu wydawało się, że leczyć w dalszym ciągu skrofułów za pośrednictwem wkładania rąk, nie będzie już mógł Ludwik XVIII, podobnie jak to robili jego poprzednicy — jemu szło o to, aby tak zwana „Karta" zadawalała wszystkie wymagania ducha czasu i opierała się na tych zdobyczach, po za które cofnąć się wstecz nie dozwalał rozsądek zdrowy i jaki taki dar przewidywania. A tymczasem ten niepoprawny wygnaniec niedawny na każdym kroku przemawiał w duchu i językiem Ludwika XIV, wszystkim współpracownikom i towarzyszom zwycięztw wielkiego wojownika opowiadając o ex-uzurpatorze, jego ex-rządach zbrodniczych, i zbójach z pod Wagram i Austerlitzu.

Już w czasie koronacyi owego prawowitego monarchy czytał Chateaubriand przyszłość jego i we wzgardliwych spojrzeniach armii rzucanych nań przez uczestników bitw pod Lodi i pod Piramidami, i w lekkomyślnem pomiataniu jego dworactwa tem wszystkiem, z czem duch francuzki zlał się organicznie, i w zupełnem niezrozumieniu warunków, pod jakimi wyczerpnięta do ostateczności walką, ale niechcąca uronić ani jednego listka wawrzynu z chwały swojej Francya, pogodzić się mogła ze starym porządkiem rzeczy.

Jednem słowem on mówił im ciągle: Skorzystajcie z doświadczenia, uszanujcie przeszłość, bądźcie sprawiedliwymi skoro genialnymi i wielkimi wyraźnie być nie możecie— on im to mówił, ale to nie był język dostępny dla całej dworni z księciem de Blacas na czele.

Ani Ludwik XVIII, ani Karol X z patryotyzmu, rozumu politycznego i przywiązania Chateaubrianda do starej dynastyi skorzystać nie umieli.

Po utracie ostatnich złudzeń, pozbawiony wszystkiego, oprócz dziedzicznego parowstwa i członkowstwa akademii francuzkiej, na którą sfery rządzące wpływu wyraźnego nie wywierały, znalazł się Chateaubriand w położeniu materyalnem zupełnie kłopotliwem. Ostatnią własność swoją, małą letnią rezydencyę zwaną „Valée aux Loups" zmuszonym był sprzedać w tych czasach dla zaspokojenia wierzycieli. Do tej też epoki odnieść należy utworzenie współki dla wydania pamiętników jego pogrobowych — dzieła, które bezsprzecznie najwięcej sławy—niestety sławy pośmiertnej, przyczyniło autorowi. Już w roku 1811 rozpoczął Chateaubriand gromadzić materyały, ale teraz dopiero dzięki staraniom kilku możnych przyjaciół mógł oddać się tej pracy, która w istocie stała się pomnikową. Wzamian za 250,000 franków, wypłaconych gotowizną, a całkowicie prawie użytych na spłacenie długów, i 12,000 franków renty dożywotniej, podjął się wielki malkontent wszystkich rządów, pod jakimi żył przez lat 70 kilka, napisać pamiętniki, zastrzegając, aby te po jego śmierci dopiero mogły się ukazać w druku.

Zjawieniem swojem wywołały one nieposlednią wrzawę, bo były wielkim sądem na winowajców, usprawiedliwieniem niejednego błędu pozornego, a zadosyćuczynieniem dla zapomnianych i pominiętych.

Nie zapominajmy przytem, że był to rok 1848; trzy kolejno po sobie idące rządy: Ludwika XVIII, Karola X i świeżo złożona do grobu mieszczańsko-Orleańska monarchia Ludwika Filipa, stawały przed surowym sądem historyi. Wyznać należy, że tej ostatniej dostało się tam najwięcej. Stary feudał, jakim był niezaprzeczenie z urodzenia Chateaubriand, widząc grzechy i nędze legimityzmu, mógł ze złości zostać chociażby republikaninem; chociażby folgując swojej instynktowej i wyrozumowanej czci pogańskiej dla geniuszu, przechylić się ku Bonapartemu, ale to co temu orlemu umysłowi, temu duchowi nawskróś francuzkiemu najprzeciwniejszem właśnie było, to wszystko, co wraz ze sprzecznościami nawet podało sobie zgodnie rękę dla stworzenia monarchii mieszczańskiej. Ignorował Ludwika Filipa, cierpiał obrzydliwość do Thiersa, a że miał wielkopańską manierę w pogardzie swojej, więc nie dziw że ranił dotkliwie. Co prawda trudno o to specyalnie gniewać się na autora „Pamiętników pogrobowych." Coś niecoś ma on do przebaczenia księciu Joinville, ale to z tej tylko racyi, że osobiście stanął na czele ekspedycyi, która sprowadziła do Francyi zwłoki Napoleona. Poza tym aktem zadosyćuczynienia, niema jego zdaniem w monarchii orleańskiej ani jednego epizodu godnego zaznaczenia. Kramarstwo, nędza, małostkowość, tuzinkowa miernota i niemożebne obniżenie geniuszu Francyi — oto wszystko co on w tym epizodzie historycznym dostrzega, i od czego się ze wstrętem odwraca.

Najwięcej miejsca w tych wspomnieniach zajmuje Napoleon i jego sprawy, illustrowane z drugiej strony tem, co się współcześnie działo w stronnictwie Burbonów. Przyznać należy, że surowy sąd, jaki wydaje Chateaubriand na cesarstwo, łagodnie i jasno wychodzi w zestawieniu z jego zapatrywaniami na

działanie obozu, do którego sam należał. W ostatnim mianowicie akcie wielkiej tragedyi dziejowej najjaskrawiej razi niepoprawność partyi legitymistycznej i jej kreatur. Rezumie się, że ani jednego pochlebnego słowa nie ma znakomity historyograf epoki dla otoczenia Napoleona; Fouché i jemu podobni robią na nim wrażenie płazów. Talleyrand wraz z całym jego aparatem przekupstw, wiarołomstwa, i szachrajstw politycznych, wytwarza atmosferę, w której on przyznaje, że się dusi; dla większej części marszałków małodusznie opuszczających bohatera, gdy blask jego gwiazdy gasnąć poczyna, nie ma ani jednego przychylnego słowa, ale ponad wszystko gniewa go nicość, którą tamci starzy wnieść mają ze sobą—od wszystkiego straszniejszą wydaje mu się ta noc odwetu, którą przeczuwa dla Francyi. A przytem ta Europa — co ona sobie myśli depcząc tak zuchwale po tym olbrzymie, który za sprawą spełnionych przeznaczeń swoich, a nie za jej sprawą, zwija teraz swój namiot okrywający świat cały. Napoleon abdykuje. Reakcya narodu wyczerpniętego tyloletnią walką jest zrozumiałą, podszczuwania Burbońskie sprawiają, że ta reakcya objawia się brutalniej niż była powinna, i dzięki tym machinacyom tajemnym, dzięki morderczej kampanii ostatniej, w której grób znalazło tyle dzieci francuzkich, opuszczający Francyę Cezar spotyka na drodze swojej objawy nieprzyjazne, które choćby nawet były i słuszne w części, chwały narodowi francuzkiemu nie przyczyniają z pewnością. On nie odchodzi—on uchodzi. Tak jest, uchodzi przed groźbami, przed słowami nienawiści — ten wczorajszy jeszcze pan połowy świata cierpi upokorzenia nie dające się wyrazić, a komisarze tak zwanych sprzymierzonych potęg, użyczają mu swojej protekcyi, są gwarantami jego bezpieczeństwa — bezpieczeństwa od napaści narodu francuzkiego.

Przyzna każdy, że dramatyczniejszej sytuacyi trudno jest wytworzyć. Zkąd oni przyszli ci ludzie? woła Chateaubriand w gniewie—kim byli sami, że się ośmielali przybierać podobny ton względem tego, przed którym niedawno jeszcze z nakrytą głową żaden stanąćby się nie ośmielił? Napoleon pobity podnosił się w tem szlachetnem sumieniu o całe niezmierne nieszczęście swoje, i o całą nicość jego prześladowców.

I w ten sposób spiera się Chateaubriand z całą ówczesną reakcyą Europy, o każdą kroplę goryczy wlaną do czary wygnańca, o każde jego rozmyślne ze strony zwycięzców poniżenie, a nadewszystko o wandalizm w zacieraniu śladów tego, co on dla chwały Francyi po sobie zostawił.

W czem jest Chateaubriand nieporównanym, to w bezwarunkowej bezstronności swojej—w ocenie potężnej indywidualności wielkiego wojownika—ocenie prostującej i wykrzykniki niekrytycznych penegirystów, i niesumienne napaści nieprzyjaznych stronnictw. Gniewa się na ostatnich, że rzucają błotem otwaprzy na postać przerastającą nieskończenie geniuszem wszystko, co dokoła niej i na przeciw niej było współczesnem; gniewa i na pierwszych, że błędną interpretacyą właściwości tej organizacyi najzupełniej wyjątkowej, przeinaczają ją do niepoznania i fałszują bezrozumnie. Tym chwalcom wszystkim zachciewa się, mówi Chateaubriand, zrobić z Napoleona istotę dobrą, czułą, wylaną— wzór delikatności uczuć i miłości powszedniej, i tym właśnie sposobem przeinaczają oni to istnienie potężne aż do niepoznania—aż do śmieszności trywialnej.

Czemże był wedle Chateaubrianda Bonaparte?

Był przedewszystkiem najpotężniejszym geniuszem wojennym, jakiego wydała era — był poetą czynu — istotą, której pierwiastek duchowy nieopuszczał nawet w chwilach zapomnienia i obłąkań — był prawodawcą mądrym i przewidującym, znającym człowieka jak żaden z psychologów z powołania — był nakoniec wielkim czarodziejem, który umiał dla osoby swojej wywołać tyle uwielbień szczerych, tyle ofiar bezinteresownych, wiele ich nie wzbudzili razem wzięci wszyscy mocarze, prawodawcy i wojownicy. Bez podniesienia do sześcianu dostępnych umysłom ludzkim uzdolnień, niepodobna jest stwarzać dziwów podobnych.

Bardzo mu nie pomyśli są rzekome pamiętniki Napoleona spisywane jakoby na wyspie św. Heleny przez tych, którzy mu pozostali wiernymi aż do ostatniej godziny. Utrzymuje, że jest tam mnóstwo zdań, sądów i aforyzmów, których Napoleon nie wypowiedział nigdy—których on nie mógł wypowiedzieć. On ma o nim swój sąd własny, i wie co pochodzi z tego ducha, a co mu koniecznie obcem być musiało. Przytacza odezwania się charakterystyczne, w których widzi Napoleona całego.

„Zakląłem wielkiego ducha nowości, który przebiegał świat”—Oto jedno ze zdań podobnych.

Drażnią go protesty Napoleona przeciw wiarołomstwu Anglii, i woła z gniewem: Po co on tym ludziom robił tyle zaszczytu? Po co się było targować z klucznikami swego więzienia o trochę więcej złota albo swobody?

Napoleon przeczytał razu pewnego wyrazy Chateaubrianda stosujące się do jego uwięzienia na odludnej wyspie. Mówi tam ów wróg niegdyś nieprzejednany, że wzrok wielkiego więźnia utkwiony poprzez ocean w wybrzeża Europy, wystarcza sam jeden, aby na tych wybrzeżach obozowały armie z bronią u nogi.

Już dogorywał w one czasy wielki samotnik, a jak się wyraził sam do otoczenia, te kilka słów najwytrwalszego z jego nieprzyjaciół, zlały ostatni balsam na rany jego ciągle krwawiące.

Chateaubriand dumny był, że od niego wyszła ta pociecha.

Godna prawdziwie zastanowienia atrakcya wzajemna umysłów genialnych, które się po tylekroć razy wzajemnie odepchnęły!

I on w tych przedzgonnych dumaniach swoich pozbył się całkowicie niechęci do tego jednego, który nic od niego przyjąć nie chciał, a owszem wszelkie propozycye i pokuszenia wytrwale odrzucał; wcześniej nawet, bo już w epoce restauracyi, gdy sądzono, że Chateaubriand obejmie stanowisko pierwszego ministra, taki stawiał Napoleon horoskop jego ewentualnej karyerze politycznej:

...„Być może, że wstąpiwszy na pole polityki praktycznej Chateaubriand zbłąka się — być może, że znajdzie swoją zagładę tam, gdzie tyle innych uzdolnień wyższych doświadczyło niepowodzenia, to pewna wszakże, że jest on patryotą szczerym, i że wszystko co wielkie i szczytne — co prawdziwie płynie z ducha francuzkiego, zawsze znajdowało przystęp do jego umysłu.”

Wobec sprowadzonych przez siebie na tron francuzki Burbonów, wyznawał Chateaubriand, że ta ocena najpotężniej pochlebiała dumie jego serca.

Tyle słów poświęcono związkom przyjaźni, przekazanym przez historyę lub mitologię. Wydaje nam się, że stosunek tych dwóch nieprzyjaciół o wiele więcej jest pouczającym. To są bądź co bądź wyżyny dla żadnej przeciętności ludzkiej niedościgłe.

Oddając cześć Napoleonowi za jego głębokie poczucie religijne, jego wiarę w życie przyszłe, nawet za pewną skłonność jego umysłu do upatrywania w zjawiskach przyrody pewnych tajemniczych ostrzeżeń, tak się odzywa do ludzi nowej szkoły ówczesnej chętnie solidaryzujących się z duchową spuścizną Cezara wojownika:

„Mocne głowy (ésprits forts) dzisiejsze! dajcie pokój uwielbieniom waszym dla Napoleona — nie macie co robić z tym biedakiem. Wszak on mówił, że wyznaje religię swojego ojca—wierzył że kometa przyszła zwiastować mu zgon blizki—zresztą nie stacza on nigdy bojów z Przedwiecznym, chociaż zwyciężył tylu mocarzy, chociaż i t. d., i t. d...”

(Dokończenie nastąpi).

La Bourgogne.

Takie miano nosił należący do kompanii Transatlantyckiej parowiec francuzki, który w pierwszych dniach bieżącego miesiąca zatonął na wodach Ameryki Północnej w pobliżu Nowej Szkocyi. Katastrofa ta po skrupulatnych obliczeniach uznaną została jako najstraszniejsza z pomiędzy wszystkich, które miały miejsce między Europą i Ameryką od czasu zaprowadzenia tam komunikacyi parowej.

I tak przypominają dzisiaj dzienniki, że zatonięcie statku tej samej kompanii nazwanego „La ville du Havre,” które miało miejsce w roku 1873 pochłonęło 230 ofiar. W r. 1875 rozbił się parowiec niemiecki „Schiller,” z którego zatonęło 324 osób. Przy rozbiciu przez statek angielski „Sulton” niemieckiego okrętu „Cimbria” w roku 1883 zginęło pasażerów i załogi razem 454. W 10 lat potem na pancerniku angielskim „Victoria,” znalazło w falach morskich śmierć 422 marynarzy, a w 1895 r. inny wojenny statek, mianowicie krzyżowiec hiszpański „Reina Regenta” rozbiciem swojem przyprawił o śmierć 435 ludzi do samej załogi należących. W tymże samym roku, co zresztą zapewne pamiętają i czytelnicy, zatonęło na niemieckim statku transatlantyckim „D. Elbe” 332 pasażerów.

Z wszelką zatem słusznością twierdzić można już dzisiaj, że katastrofa okrętu „Bourgogne" jest najcięższą ze znanych na tej linii, albowiem straty w ludziach dochodzą tutaj niesłychanej cyfry 628 osób.

Jak to zwykle miewa miejsce po spełnionem nieszczęściu, rozpoczyna się dochodzenie co do jego przyczyn. Tych ostatnich było, o ile się zdaje więcej niż jedna. Pierwszą z nich i najważniejszą zarazem była mgła. Według urzędowego zeznania kapitana statku „Cromartshyre," złożonego po przybyciu do Halifaxu, głównego miasta Nowej Szkocyi, parowiec jego płynął z szybkością 4 mil na godzinę i dawał ciągłe sygnały syrmą, gdy nagle ukazał się z pośród mgły jakiś okręt, najechał nań, i tak dalece go uszkodził, że odtąd znalazł się „Cromartshyre bezwładnym na łasce oceanu. Statek uderzający natychmiast zniknął, a gdy o godzinie 5½ rano przerzedziła się nieco mgła, ujrzała załoga angielskiego parowca w pobliżu kilka łodzi ratunkowych napełnionych rozbitkami, a tu i owdzie na szczątkach okrętu, luźnych kilkanaście osób szukających pomocy. Sam okręt, którym był właśnie ów niefortunny parowiec francuzki, zatonął natychmiast prawie, bo w 10 tylko minut po tem nieszczęsnem spotkaniu, wedle jednozgodnych zeznań ocalonych.

„Cromartshyre" stał na miejscu przez dzień cały i przyjął na swój pokład 200 rozbitków. W ciągu dnia nadpłynął inny statek „Grecian" i ten wziął na siebie holowanie uszkodzonego angielskiego parowca. Załoga okrętu „Grecian" opowiada znowu, że o godz. 8 z wieczora (właśnie chwila zaszłej katastrofy) usłyszano wystrzały działowe, że następnie ujrzano w odległości 3 mil sygnały wzywające pomocy. Ponieważ „Cromartshyre" tych sygnałów nie dawał, oczywistem się staje, że brał udział w katastrofie trzeci jeszcze jakiś okręt, który jednakże zginął widać bez śladów, „Grecian" bowiem pośpieszył natychmiast w danym kierunku, ale na powierzchni morza nie było już wówczas nic. O tem tedy nieszczęściu dowie się prawdopodobnie świat później nieco.

Według ostatnich wiadomości znajdowało się na „La Bourgogne" 191 podróżnych I klasy, a w tej liczbie 72 kobiety. Klasy II-ej 250 osób, pasażerów podpokładowych 295 i ludzi należących do załogi statku 220.

Otóż dosyć szczególnym jest udział w nieszczęściu każdej z tych 4-ch kategoryi. Wyratowano ogółem osób 205. W tem jest 61 podróżnych i aż 104 ludzi załogi. Klasa pierwsza zatonęła cała bez żadnego wyjątku. Oficerowie pełnili swoją powinność przykładnie, kapitan dotrwał na stanowisku jak bohater, i wraz z okrętem z całą świadomością poszedł na dno, ale marynarze zachowywali się w chwili niebezpieczeństwa w tak bezprzykładny sposób, że ludność Halifaxu groziła im śmiercią na wypadek, gdyby na ląd wyjść próbowali. Ohydy barbarzyństwa opowiadają ci z uczestników katastrofy, którzy ją przeżyli. Załoga nietylko nie robiła żadnych wysiłków dla uratowania kobiet i dzieci, ale majtkowie rzucili się pierwsi do łodzi ratunkowych, opanowali je, a następnie bronili przystępu wiosłami i hakami. Inna część podróżnych znowu, to jest ci z pod pokładu—ci wszyscy, których uratowało się najwięcej, torowała sobie wśród ścisku nożami drogę do łodzi. To też dzięki takiemu rozbestwieniu, ocalała ze wszystkich jedna tylko kobieta, i to ta, która wyprowadzona z kajuty przez męża, uczepiła się wraz z nim jakiegoś odłamka okrętu. Tych dwoje, to małżonkowie Lacasse; on jest profesorem w Plainfield. Osiem godzin pływali po morzu z tym szczątkiem statku, zanim ich dostrzeżono z parowca angielskiego.

Z pomiędzy tych, którzy w tych chwilach rozpaczy stali na wysokości swego obowiązku, wymieniają świadkowie trzech księży francuzkich, niebacznych zupełnie na bezpieczeństwo własne, którzy modlili się i udzielali absolucyi *in articulo mortis* ginącym.

Co do innych przyczyn, które pociągnęły za sobą tak niebywałą w katastrofach tego rodzaju liczbę ofiar, uważają ogólnie starą konstrukcyę statku. Szruba była jedna, gdy więc ta przestała odrazu działać, o ratunku nie było co myśleć. Nadto dzisiejsze parowce mają przyrząd, który na sygnał pierwszy niebezpieczeństwa, za przyciśnięciem guzika od aparatu elektrycznego, znajdującego się w kajucie kapitana, zamyka hermetycznie kompartymenta pojedyncze statku nie pozwalając wodzie zaskoczyć pasażerów w kajutach. Takiego przyrządu „La Bourgogne" nie posiadała, i dlatego z pierwszej klasy nikt, jak to powiedzieliśmy wyżej, uratowanym nie został.

Wymiary statku były takie: długość stóp 494—szerokość 52 — zagłębienie na 34 stopy. Pojemność 7,305 tonn, a siła machiny 8,000 koni parowych.

Znowu tedy mamy obraz wszechwładztwa zachowawczego instynktu wobec grozy nadchodzącej śmierci. Znowu silniejszy odpycha bodaj nożem, bodaj uderzeniem wiosła po głowie istotę słabszą, szukającą na czółnie ratunku. Ale tym razem to już nie panicze jak przy pożarze bazaru dobroczynnego w Paryżu—to już nie ci tak zwani „gardenje," to owszem tłum zdrowy, silny, muskularny, tłum z pod pomostów i niższe rangi marynarskie. To są ci, którzy się wyratowali dlatego, że nie dali się wyratować ani jednej kobiecie — ani jednemu dziecku. Owszem jedna z szalup ratunkowych napełniła się kobietami i dziećmi, ale niesubordynowana załoga wypowiedziała wśród paniki posłuszeństwo. Nikt nie odczepił szalupy od statku i dlatego poszła ona wraz ze statkiem na dno morskie. Okropne!

Dotrwali mężnie jedynie ci, co pozostali wiernymi poczuciu obowiązku—co się poczuli żołnierzami—tłum pozostał tem, czem tłum bywa zawsze, nawet wtedy, gdy ma przed oczyma żywe przykłady najszczytniejszych poświęceń i heroizmów.

A my sobie tak chętnie dworujemy dzisiaj ze starego kodeksu — ze starej rycerskości, i tak nam pilno grzebać jej szczątki nawet najdrobniejsze. Ostatecznie pozostali tam ludźmi tych kilku księży i ten dziesiątek jakiś żołnierzy. To byli właśnie ludzie gardzący śmiercią i umiejący umierać. Umarli też wszyscy. Nazwisko kapitana: Deloncle. Był on porucznikiem marynarki francuzkiej—pozostawia po sobie żonę i sześcioro dzieci.

Kwestyonaryusz Berenger'a.

Jak gdyby sąd o prasie współczesnej we Francyi nie był dotąd wyrobionym, jak gdyby w kołach intelligencyi były jeszcze takie grupy, któreby zachowały złudzenia co do bezinteresowności i występowania w imię zasad tej grzesznicy osławionej i ostatecznie odartej z uroku, która zwie się prasą peryodyczną, zachciało się Francuzom wydobyć raz jeszcze tę sprawę nieszczęśliwą przed forum opinii publicznej.

Naturalnie wyjaśnienia nie mogły się skończyć inaczej, tylko tak jak się skończyły, to jest skandalem zdecydowanym, i ten też jak mniemamy, a nie inny cel mieć musiał chyba Berenger rozsyłając swój kwestyonaryusz wielu znakomitościom literackim i publicystycznym wraz z prośbą o słowa szczere co do wartości literackiej i moralnej dzisiejszego dziennikarstwa paryzkiego. Bardzo wielu ludzi wybitnych odebrało wezwania podobne, bardzo wielu z nich nadesłało swoje opinje, a ton tych ostatnich, treść sama i gorycz widniejąca z każdej podobnej oceny, zdradzają najwyraźniej, że każdemu rzecz ta oddawna na sercu leżała, i że wcale się nie namyślał nad repliką, ani za stosowne uznawał, powściągać nagromadzonej żółci. Jest też tam nazwisk znanych we Francyi pokaźna ilość, są i reprezentanci nauki poważnej jak Anatol Leroy-Beaulieu naprzykład, są belletryści jak Zola, Claretie, publicyści jak Talmayer, Case, Marc redaktor tygodnika „Illustration," przedstawiciele stronnictw jak Drumont, i wiele bardzo wiele wybitnych osobistości rozmaitych sfer, barw i odcieni.

Przytaczać oczywiście zawartości ich odpowiedzi nie jesteśmy w stanie, bo raz że jest tego dużo niezmiernie, a potem że kto pozna jedną z nich, ten doprawdy tak dobrze będzie powiadomionym, jak gdyby wszystkie pozostałe przestudyował. Zamiast jednakże wyszukiwać jednej najcharakterystyczniejszej, którąby służyć miała za tłómaczkę przekonań zbiorowych, wolimy dać kwintesencyę tego, co sobie przez ciąg paru ostatnich dziesiątków lat wysłużyło w opinii publicznej dziennikarstwo III respubliki. Otóż sąd zbiorowy tych wszystkich ocen daje się streścić w ten sposób:

Że w Paryżu niema różnic między ogłoszeniem płatnem a tak zwanym artykułem rozumowanym, pochodzącym od redakcyi, a mającym niby stanowić wyraz jej przekonań, a to podobno z racyi, że redaktor pisma zależny materyalnie od kapitalisty jako właściciela, robi to wszystko, co leży w interesie tego ostatniego, finansiści zaś, jak wiadomo, błahostkami takiemi jak zasady, idee i przekonania nie zajmują się wcale — dotąd przynajmniej.

Że upędzająca się za jak najliczniejszem kołem czytelników prasa dzisiejsza, schlebia nietylko gustom i upodobaniom tłumów, niezasługujących bynajmniej na to, aby im schlebiał ktokolwiek, ale dla skaptowania ich

sobie kusi, podnieca i deprawuje z rozmysłem do reszty to wszystko, co i tak samo przez się jest liche, nędzne i bez wartości moralnej.

Że dzięki takiemu poniżeniu się dziennikarstwa można już dzisiaj dowodami poprzeć oskarżenie piśmiennictwa peryodycznego o wpływ jego na wzrost przestępstw i zbrodni.

Że posunęło ono cynizm aż do otwartego przyznania uczestnictwa swego we wszelkich panamach i szacherkach przemysłu, a to z racyi niby, że dziennikarz postępuje w takim razie nie inaczej, tylko jak adwokat broniący sprawy tego, który mu za obronę zapłacił pieniędzmi. A że jest przytem wyrobiona solidarność prasy wobec takiego frymarku, więc chociaż napada się w tonie szlachetnego oburzenia na przekupstwo reprezentacyi narodowej, o przekupstwie prasy milczy ona sama jednozgodnie.

Że nakoniec dziennikarz przestał już nawet obecnie pozować na takiego, który występuje w imię religii, stronnictwa, kasty — w imię jakiegokolwiek przekonania, a choćby tylko doktryny, i oddawna też już utrwaliło się w tych sferach przekonanie, iż dziennikarz jeśli ma wywiązać się należycie z tego, czego po nim oczekuje pieniądz, winien wyrzec się nietylko zasad, ale i ambicyi osobistej.

No, będzie chyba dosyć tego—nietylko dosyć, aby się ze wstrętem odwrócić, ale nadto, aby sobie poprzysiądz, że się nigdy w życiu drukowanego peryodycznego szpargału do ręki nie weźmie. Bo i po co brać—powiedzcie czytelnicy sami. Czy po to, żeby sobie przy każdej sposobności rozwiązywać taką nierozwiązalną zagadkę, jaką jest: wiele też — kto, kiedy, i w jakim celu dać mógł pieniędzy za to, co ja czytam w tej chwili? Najprzód jest to niemożebnością zupełną przeniknąć machinacye podobne nie wtajemniczonemu w nie, a potem upokarzać to musi czytelnika niezmiernie, bo ostatecznie nie kogo innego mistyfikują tylko jego, nie na czyją łatwowierność zastawiają sidła, tylko na jego łatwowierność, i nie z kogo innego drwią tym sposobem tylko z niego i jemu podobnych.

Ale jakże ma być inaczej, kiedy dziennikarstwo wyszło zupełnie we Francyi z rąk ludzi przekonań, a dostało się spekulacyi do jej wyłącznego rozporządzenia. Wiadomo, że pieniądz szuka zysków, że nie gardzi żadnym handlem, byle ten w otwartej sprzeczności nie stanął z którymkolwiek artykułem kodeksu karnego, więc co dziwnego, że ten, kto sobie założenie podobne postawi, a skrupułów nie ma żadnych, musi koniecznie starać się o mnożenie korzyści, nie oglądając się na żadne względy, bo względy dla pieniądza nie istnieją. Prenumerata potrzebna rozumie się, i to jak największa; od ilości prenumeratorów zależną jest w pewnym stopniu ilość inseratów płatnych pomieszczanych w rubrykach właściwych, ale i prenumeraty i ogłoszeń za mało jest dla dzisiejszego kapitalisty. Tu też dopiero występują tak zwane artykuły rozumowane, które odczytują naiwni w godnem politowania skupieniu ducha, a które świadomsi rzeczy czytelnicy powonieniem odczują, bo to naprawdę ani tak bardzo zręczne nie bywa, ani zbyt chytrze obmyślane — ot sobie zwyczajnie tandetna dziennikarska paplanina kołująca przez dwie szpalty bałamutnie po to tylko, aby na trzeciej wyszło szydło z worka, notabene wyszło dla obeznanego choć trochę z tem szalbierstwem czytelnika. Nie należy się też wcale dziwić lichocie tego cuchnącego produktu. Człowiek z jakimkolwiek charakterem, a choćby tylko z niezwichnionem doszczętnie poczuciem moralnem, wolałby przecież suchy kawałek chleba na poddaszu, jak tę służbę poniżającą, więc rekrutuje się dzisiaj ostatnich pomiędzy upadłymi, najbrudniejszych między obłoconymi — wyszukuje najemników po śmieciskach ludzkich, a ci przecież talentami, a choćby nawet zręcznością nadzwyczajną odznaczać się nie mogą.

Takich też żywiołów napływa do dziennikarstwa coraz więcej i ostatecznie sprawdza się raz jeszcze sentencya: jakie dzieło tacy robotnicy.

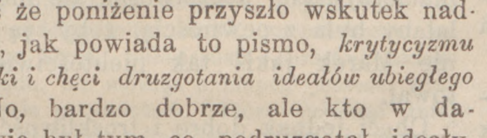
Niektóre z pism naszych podając wiadomość o tym nowym skandalu, ze szczególną względem niego zachowują się oględnością. Niejako im wprost zaprzeczyć Francuzom prawa do oceny ich własnego piśmiennictwa, ale melancholizują, starają się coś wymędrkować, a jak się to u nas mówi w pewnych sferach odznaczających się tak zw. beznamiętnem umiarkowaniem, próbują wypośrodkować tak, żeby to ożenić prawdę z fałszem, zapalić jedną świeczkę Bogu, a drugą dyabłu. Ah te wypośrodkowywania wszystkie! Na jakie manowce one ludzi prowadzą niekiedy! Otóż jedno z pism takich objaśniając niby sytuacyę, w ten sposób się o niej wyraża:

„W miarę jak powszechne zniechęcenie wzrasta — w miarę jak pessymizm ogarnia coraz szersze koła, powiększa się stale ilość zarzutów i oskarżeń, zwróconych przeciw dziennikom i dziennikarzom. Dopóki oczekiwano z niezachwianą wiarą okresu niezamąconej szczęśliwości — ziszczenia się wszelkich marzeń, dopóty z góry przyznawano prasie część zasługi. Dziś, gdy nadeszło rozczarowanie, na nią wali się przeważna część winy...”

Wyborne! Nieocenione! Zwłaszcza też jako wstęp do stwierdzonych, udowodnionych, i przez samego nawet winowajcę nie kwestyonowanych faktów nikczemności, przekupstwa i wiarołomstwa. Więc to nie zniechęcenie ogółu względem dziennikarstwa przyszło na skutek jego upadku i poniżenia, ale widać że poniżenie przyszło wskutek nadmiernego, jak powiada to pismo, *krytycyzmu naszej epoki i chęci druzgotania ideałów ubiegłego wieku.* No, bardzo dobrze, ale kto w danej sprawie był tym, co podruzgotał ideały, kto je sprofanował, kto poniżył powołanie, zawiódł zaufanie publiczne, kto wszystko przefrymarczył, przehandlował więcej dającemu?

Winszujemy logiki, a i szczerości także!

I.. C...z.



NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu.

(Ciąg dalszy).

W roztargnieniu zupełnem doczekali się końca obrzędu; była to porażka, z którą nie pilno było powracać do domu. Iść do kościoła z Wojciechem, a przynieść ztamtąd Marka—o tem ani kumom, ani ojcu niejako było zawiadomić matkę. Niemniej piwo nawarzone należało wypić tym lub innym sposobem. W drodze najśmielsza z kumoszek żeby wyjść z honorem, a głównie aby nastroju do okoliczności zastosowanego nie zachmurzyć, zaczęła innym dodawać odwagi.

— Moje ludzie kochane — mówiła tonem przekonania — bez co ten święty Marek ma być gorszy, jak który inny święty — to ja Bogiem a prawdą nie wiem. Uwidzieli sobie ludzie do niego coś; powiada jeden i drugi, że to nie pięknie kiedy na człowieka wołają: Marek, ale żeby się znalazł taki, coby to dokumentnie wyłuszczył dlaczego, to niema takiego mądrego.

— Bogać tam! Jużci żeby to było takie szczęście, toby się ludziska od niego nie bronili na wszelki sposób. Ludzie zawsze wiedzą zkąd na nich bieda idzie, i dlatego także pewnikiem sobie z palca i tego nikt nie wyssał. Choćby on tylko takie suche lata dawał, jak to, które było na bezrok—tak ludziom chleba skąpił, jak czasem skąpi, to jużci nie dobre od niego przychodzi, jeno złe. A jak ci po świecie powiadają, wszędy o takim niespokojniku, co się tłucze jak Marek po piekle, to zkąd to przyszło? — to tak bez dania racyi? z tego wiatru co wieje? Hę? No, ale kiedyście wy na wszystko tacy wypraktykowani, to nie zapomnijcie aby języka w gębie, jak przyjdzie matce o tem powiedzieć—mnie tam nie praga zaczynać pierwszej.

— To się wie, że powiem—i jak jeszcze powiem. Niech was o to głowa nie boli.

— Jakeście tacy mowni, to było lepiej księdzu gadać, a wyście w te czasy jak na złość ogłupieli czy zaniemieli. Ja jedna prosiłam i przekładałam. Ale co to jeden zrobi!

— Żeby was tam i dziesięć bab było, a każda z gębą taką jak wrota nieprzymierzając, to z naszym księdzem nie poradzi. Nie bójcie się; nie taki on!

— A że sparty z niego człowiek, to sparty.

— Co to sparty. Nieużyczliwy jest jak ten kamień, i taki był zawsze.

Gospodarze a kumy szli z ojcem naprzód, ale milczeli wszyscy. Antoni rozmyślał o tem, że kobieta jego będzie markotna, a tamtym znowu szło o to, że się ochota popsuje, bo to niby jak gospodarz kwaśny, to wtedy ani składu i ładu, ani przymusu przy zabawie takiego jak się patrzy.

Jakoż nie poszło gładko wcale, jak przewidywały wszystkie kobiety powracające. Matka zgryzła się nieledwie tak, jakby dziecko nieżywe byli jej z tego kościoła przynie-

śli; ta, której propozycyi zawdzięczano ten chrzest dzisiejszy, wtórzyła jej energicznie, nie zaniedbując jednak dyplomatycznie dawać do zrozumienia, że gdyby ona tam była na miejscu, nigdyby do takiego nieszczęścia nie przyszło. Jużciż mieć Marka w domu był to wstyd niezaprzeczony, i ktoby był miał, jak to ona rzekła, „gębę w swojem miejscu" nigdyby do tego nie dopuścił.

Wiedziała przebiegła kobieta, że najlepszą obroną jest zaczepka, a coś jej szeptało, że się to przeciw niej obrócić może, ale że zaczepiająca była jedna, a obrażonych kilka, więc jej to na sucho przejść nie mogło. Usłyszała też niebawem:

— Taki ten chrzest dzisiejszy potrzebny był, jak nieprzymierzając dziura w moście, dyabeł w Częstochowie, a choćby na to mówiący i w tej chałupie dziecko takie, na którego ludzie Marek wołać będą, i dworować sobie z niego bez życie całe, jakby ono było jakie ostatnie. Żeby choć do pojutrza było poczekać, byłby księdzu ten Marek dzisiejszy z głowy wywietrzał; chłopak byłby se Wojciechem; chodził po świecie jak każdy inny, a tak co będzie teraz?

— Po czem poznać głupiego? po mowie jego. To wy gromadę dzieci macie w chałupie, a jeszczeście się nie dowiedzieli, że każde z nich ma spisaną swoją metrykę rodzącą, i że jak potem potrzeba czy za chłopa dziewczynie, czy chłopakowi do wojska, czy czego niedopuść Boże, kiedy na które śmierć chrześcijańska przyjdzie, to tylko wyczytkę zrobią z takiej książki, i duchem się dowiedzą, co oni za jedni, i kiedy które na świat przyszło.

— Powiedziała co wiedziała. A coby wam, a choćby i drugiej za niewola była przyznawać się, że on się na Marka urodził?

— Idź z głupim na ryby, to on żaby łapie. To żeby się od tego Marka wymigać, to wybyście, kobieto, w taką biedę wleźli. A przecie to głupie dziecko zrozumie, że to ze śledzkim sędzią robota. Jakbyście sobie z jakie parę lat w prochowni wypoczęli za taki figiel, to by was duchem wasze zmysła odeszły.

— Nie każdemu droga do prochowni jednaka. Są, wiadomo Bogu i ludziom, choćby i w naszem Zalesiu chałupy, z których ludzie chadzali na takie wypoczynki, ale w mojej tego z łaski Boga nie było i nie będzie. Tego chleba ani mój swak, ani moja stryjna nie jedli, jak u drugich ludzi, to się i dzieciska moje bez niego obejdą...

— Wy mi tu ze stryjną i z bratem mojej matki do oczu nie skakajcie, bo tak stryjna winni byli temu, że się ich chłopu zmarło niespodzianie z woli Boga Wszechmogącego, jak i ten oto chudziątko, co tam w kolebce leży, winowat temu, że mu taką jędzę jak wy dali na chrzestną matkę. A od nieboszczyka Błażeja to wam zasie, bo on był sobie gospodarz na całą wieś, i takiego u was w familii ze świecą szukając nie znajdziecie, a jeśli go spotkali w lesie przy onych koniach, co żeby były pozdychały szelmy wszystkie co do jednego przedtem, to dlatego, że miękkiego serca zawdy był człeczysko, i wtedy też na ten przykład ulitował się nad biednemi bydlętami oplątanemi rzemieniem, a przywiązanemi do drzewa, i chciał je ztamtąd uwolnić. Widzicie ją!—od prochowników będzie ludziom wydziwiała! Po czem prochownik prochownika poznał? po tem że sam prochownik..

I nie tak szybko pędzi ku przepaści lawina górska—nie z takim rozpędem rwie tamy i groble woda, która się raz przez szluzę upustu przedostała—nie tak zawrotnym rozmachem migają wiatrakowe śmigi, gdy je nadciągająca wichura w przyśpieszony ruch wprowadzi, jak poruszały się te rozbiegane języki kobiece, gdy je raz namiętność podsycona trunkiem z krępujących więzów oswobodziła. Do późna w noc ciągnęły się takie spory zaciekłe a jałowe; wypomniano sobie wszystkie rzeczywiste i wyimaginowane wzajemne krzywdy, pociągnięto do odpowiedzialności całą żyjącą familię jednej i drugiej strony, wydobyto z grobu nieboszczyków, w końcu dostało się jeszcze raz księdzu, organiście, świętemu Markowi, a potrochu i matce nowonarodzonego, która żeby była gospodyni jak się patrzy, toby sobie była przecie u świętego Feliksa patrona wszystkich dzieci, uprosiła tę łaskę, i nie dała życia chłopcu w taki dzień paskudny, z czego tylko na nią wstyd, a nieszczęście na wieś przyjść może, przez taką obrazę Bozką, jajaka się tu naprzykład choćby i teraz odbyła.

Niefortunnie poszło wszystko w tym dniu pamiętnym. Kobiety zadarłszy ze sobą, ciągnęły te swary przez wiosnę całą, przypominały sobie o nich w czasie sianokosu, przy lada okazyi, a i żniwom tegorocznym dobrze się jeszcze dostało z łaski tego zatraconego Marka, jak mówić nawykły o nim strony powaśnione.

Marek tymczasem jakby na przekorę żył sobie zdrowo, wrzeszczał na całą wieś, a pochłanisty był na jadło, wedle tego co mówiła matka, jak gdyby zwierz jaki, tak że musiano dlań o suplementach różnych już w trzecim miesiącu jego egzystencyi pomyśleć. Matka wymizerniała, wychudła jak szczypa, tak, że pewnego dnia Antoni Mróz spojrzawszy na kobietę swoją, choć to chłopek nasz nadzwyczajnie spostrzegawczym, ani czułym nie jest, nie mógł się jednak oprzeć podziwowi, i pomruknął z niechęcią:

— Zeźreć cię ten best... chce, czy co?

— Niech mu tam będzie na zdrowie — odpowiedziała kobieta w niewyczerpanej swojej macierzyńskiej poczciwości, ale niemniej wołałaby była z pewnością, żeby ją kto inny nie Marek jakiś tak nielitościwie eksploatował.

Chęci jednak dobre i troskliwość matczyna swoją drogą, a zasoby organizmu swoją. Antoniowa wyraźnie zadaniu swojemu karmicielki tym razem podołać nie miała, i Marek w siódmym już miesiącu życia, tak jak krzyczał przedtem za piersią matczyną, tak krzyczał teraz za pokarmami wszelkiego rodzaju znanymi sobie, bo mu już tamta śpiżarnia niczego dostarczyć nie mogła. Kobieta słabowała jakoś; z dnia na dzień było gorzej, a choć wypróbowano wszystko, co rozum w takich wypadkach doradza, polepszenie nie przychodziło. To zaś co rozum doradzał polegało przedewszystkiem na zasięgnięciu porady dziedziczki Zalesia, która, jak mówiono na okolicę całą, znająca była niegorzej od doktora niejednego. Następnie gdy ta pomoc okazała się niedostateczną, usiłowały kumoszki, takie rozumie się, które potrafiły, zdjąć z niej, co ona najwyraźniej miała sobie przez kogoś zadanem, ale jak na złość ten ktoś wyraźnie mocniejszy był od nich w swojej sztuce, bo urok nie ustępował, a nawet ostatnim razem to się już sito na nożycach ani razu dokoła obrócić nie chciało. Więc Antoni zasłyszawszy na jarmarku o takim doktorze, co to niegdyś lekował owce i bydło, koniom nogi narządzał, a teraz się u niego ciężko było o posłuchanie doprosić, taka go ciżba ludzka od świtu do nocy oblegała—zasłyszawszy tedy o takim, wybrał się do niego po radę, wziąwszy ze sobą, jak to zresztą najprostszy rozsądek wskazywał, paznogcie, włosy i coś tam jeszcze należącego do chorej. Że to było osiem mil z górą, więc wrócił do domu piątego dnia dopiero, ale nie żałował drogi, bo od pierwszego spojrzenia opowiedział mu tamten—wyraźnie jasnowidzący człowiek, słowo w słowo wszystko co dolegało niebodze, i to tak, jakby tu był w Zalesiu i patrzył na nią od samego początku choroby. Wziął wprawdzie 10 rubli, ale za to dał trzy paki ziół, które Antoni zaledwie pomieścił w worku opróżnionym z obroku, opowiedział ze wszelkimi szczegółami co pić na nowiu, a co po pełni, jak gotować te zioła jedne pod szpontem, a inne z młodem masłem, a nadewszystko zabronił chorej czesać, bo rzekł wyraźnie, że jeśli ją co ocalić mogło napewno, to chyba jeden tylko kołtun.

Wszystko prawie się stało jak przewidział, i ten zbawczy kołtun nawet długo na siebie czekać nie kazał, ale niby polepszenia nie doświadczyła chora najmniejszego, przynajmniej ona sama tak mówiła.

Tak przeszła jesień i połowa blizko zimy. W zapusty, już ku końcowi jakoś samemu, zakupił Antoni nabożeństwo, żeby się przemieniło niebodze, która teraz dniami i nocami narzekała głośno na swoje nieszczęście, przez co prawdę rzekłszy nikt w chałupie oka nie mógł zamknąć spokojnie, a gdy i teraz zmiany jeszcze żadnej ani w tę, ani w tamtą stronę nie było, postanowił mąż ostatniego jeszcze spróbować środka, to jest zwieźć doktora z miasteczka o pół mili odległego.

Przyjechał ci i ten doktór, ale co to z takim gadać. Popatrzył, popytał, potem przykładał jakoś twarz do pleców chorej, stukał po nich, niewiadomo czy żeby się czego dowiedzieć, czy tylko tak z uciechy, a w końcu pokiwawszy głową powiedział takie dziwne słowo, z którego nikt nic wymiarkować nie mógł.

— Patrzyliście, moi ludzie, z założonemi rękami, powiada, jak się dom palił, a teraz kiedy zgorzał do szczętu, chcecie ratunku.

Także było po co zwozić takiego!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Nowe uzdrowisko.

Donoszą pisma codzienne, że w majątku Oborach w pobliżu Jeziornej dzięki staraniom i znacznemu nakładowi pieniężnemu księżnej Ogińskiej, powstaje u nas nowa okazała stacya leczniczo-kuracyjna. Miejscowość sama z natury wybornie się nadaje do tego celu, posiada bowiem las, rzekę, jezioro, a więc wszystko, z czego umiejętna dłoń człowieka stwarza przy pomocy środków urocze miejsca pobytu, których zagranica ma tak wiele, a których my dotąd nie mieliśmy dla użytku publicznego prawie wcale. Na początek urządzają tam park angielski ze sztucznymi stawami zasilanymi przez przepływającą rzekę; w tym parku stanie 30 willi i budowla mieszcząca w sobie salę dla zebrań i zabaw osób używających letniego pobytu. Na to wyasygnowano w roku bieżącym 300,000 rs. W roku przyszłym staną nowe grupy willi, a przedewszystkiem zakład hydropatyczny wraz z galeryą do picia wód mineralnych.

Sprawy miejskie.

Otrzymało zatwierdzenie władz właściwych Towarzystwo akcyjne budowy tanich a hygienicznych mieszkań, które będzie kapitałem swoim operowało w naszem mieście. Towarzystwo zamierza budować nowe domy i przerabiać stare w celu urządzenia w nich mieszkań dla ludności uboższej, mając na uwadze wygodę i zdrowie dla klas pracujących. Założycielami są pp. Kozłowski i Pianko, tutejsi przedsiębiorcy budowlani. Kapitał zakładowy wynosi 500,000 rs. w akcyach tysiącorublowych.

Nie łatwo jest wystawić sobie program działania wspólki, a mianowicie możliwość pogodzenia w dzisiejszych warunkach taniości mieszkania ze wskazaniami hygieny i dogodnością lokatora w dodatku. Place bajecznej ceny dochodzą już dzisiaj—nawet w drugo i trzeciorzędnych dzielnicach miasta; domy dzielą się, nie biorąc już pod uwagę ulic, przy których stoją, głównie na nowozbudowane ze wszelkiemi udogodnieniami i ozdobami, i stare pozbawione tych wszystkich ulepszeń. Ceny pierwszych są oczywiście wysokie—drugie gdy idzie o sprzedaż idą taniej, ale przeróbki, udogodnienia hygieniczne i życiowe przez taką rekonstrukcyę wyrównają cenę z pewnością. Nie może nawet być inaczej, nowy podział mieszkań, przebudowanie starych pieców na nowe, wentylacya, wodociągi, kanalizacya i t. d., i t. d., to wszystko wymaga znacznego nakładu, a ten nakład robiąc z domu starego dom nowy, zrobić musi nieuchronnie z domu tańszego dom droższy. Pojmujemy że pozbycie się marmurów, gipsatur, kosztownych okuć i szyb, stanowić ma w ewentualnych domach dla uboższej ludności znakomitą rubrykę przy budowie, ale z drugiej strony udogodnienia i wymagania względów zdrowia odpowiednio obciążą kosztorys. Jednem słowem bez filantropii nie możemy zrozumieć takiego założenia, a o filantropii niema tam, o ile słychać, mowy.

Fakta pocieszające.

Maszynista kolejki Markowskiej Józef Buczyński ujrzał przed pociągiem ładownym, który prowadził, paroletnie dziecko leżące na relsach, a ujrzał je w chwili, kiedy na wstrzymanie maszyny było bezwzględnie zapóźno. Zamknąwszy więc parę, to jest zrobiwszy to, co było jeszcze do zrobienia, zeskoczył i biegł całą siłą aby uprzedzić nieszczęście. Szlachetnemu człowiekowi tylko w pewnej części udało się wykonać to, co zamierzył; dziecku koła nadbiegającej lokomotywy odcięły stopę, a sam dzielny jego wybawca ma strzaskaną nogę.

Jak utrzymują pisma codzienne, zarząd kolejki Markowskiej poczuwa się podobno do obowiązku przyjścia z pomocą okaleczałemu pracownikowi swojemu, ale nam wydaje się, że zdać zadosyćuczynienia na zarząd tej kolejki jakiejś, społeczeństwo nie ma żadnego prawa, choćby dla tej jednej przyczyny, że Józef Buczyński spełniając swój uczynek, którego nie wahamy się nazwać bohaterskim, nie działał wcale dla dobra instytucyi, która mu dawała pracę—nie umniejszał jej strat, ani przysparzał zysków. Jeśli poszedł za popędem serca, to działał przedewszystkiem dla wewnętrznego przekonania, które mu nie pozwalało pozostawić istoty ludzkiej na śmierć niechybną bez wyczerpania wszystkiego, co w danej chwili przedsięwziętem być mogło. Za to jednakże nie należy mu się żadna nagroda, bo za takie czyny niema nagród, a gdybyśmy przypuścili jakiekolwiek, to w żadnym razie pieniężne. Poświęcenie jednakże tego człowieka pociągnęło dla niego samego zgubne następstwa; dzięki jemu okaleczał, stał się niezdolnym do pracy, i w takim razie należy mu się pamięć i zajęcie się jego losem, ale nie od żadnej wyłącznie kolejki, ale od społeczeństwa, w razie jeśli to społeczeństwo rozumie jeszcze, że ludzie podobni szlachetnością uczuć swoich i gotowością do ofiar są jego zaszczytem i chlubą. Wyperswadujmyż sobie raz przecie, żeby na ogóle ciążyć miał tylko obowiązek zajmowania się wyłącznego losami tenorów, kontraltów i sopranów — boć przecie poza ich zasługami istnieją jeszcze inne tytuły do wdzięczności publicznej, jak oto z danego chociażby wypadku przekonać się możemy.

Drugi fakt, którego treścią podzielić się chcemy z czytelniczkami naszemi, jest i prostszy sam w sobie i tragiczniejszy w rozwiązaniu. Prostszy z tego względu, że tutaj dla ocalenia dziecka poświęca się kobieta— tragicznym, bo ta kobieta opłaca życiem swój dobry uczynek. Oto jak się miały rzeczy wedle sprawozdań pism codziennych.

W dniu 11 Lipca Maryanna Majewska przekupka z Aleksandryi, zamieszkała na Tamce, spostrzegła, że obsuwająca się sztuka drzewa zagraża śmiercią jakiemuś dziecku żydowskiemu, bawiącemu się w podwórzu. Rzuciła się więc na ratunek i w istocie ocaliła to dziecko, ale czy to wrażenie samo, czy też wysiłek kobiety pięćdziesięcioletniej przeszło, okazały się w skutkach zgubnemi, Majewska bowiem zaniemogła odrazu i następnego dnia nie przeżyła. Była to kobieta uboga zupełnie, która do ostatnich dni swoich nie mogła wyjść z długu zaciągniętego na pogrzeb męża, to też jej własnym pogrzebem zajęły się miłosierne kobiety tej samej co ona profesyi.

Jedno z pism robi dziwną w swoim rodzaju uwagę przy tej sposobności, wspomina mianowicie o nieszczególnej opinii, jakiej używa wszędzie, a tem samem i w Warszawie klasa tak zwanych przekupek. Nie wiemy jak jest wszędzie, ale tak mniemamy, że znając swoją rodzinną Warszawę, o rozmaitych klasach jej ludności ubogiej mamy dosyć dokładne, a przedewszystkiem na autentycznych danych oparte wyobrażenie. Otóż dotąd przekonani byliśmy, że przekupka warszawska jest to typ w swoim rodzaju wielce dodatni, ukrywający pod skorupą rubaszności obejścia, popędliwości do czynu i niepowściągliwości słowa, nieprzebrane zasoby dobrego serca, miłosierdzia chrześcijańskiego i trafnego sądu, nie mówiąc o innych jeszcze wielkiego znaczenia przymiotach, które pominąć tutaj uważamy za właściwe. Faktów na poparcie naszego twierdzenia moglibyśmy z życia Warszawy przytoczyć mnóstwo, i dziwi nas niezmiernie, że ludzie dostarczający dziennikom materyału sprawozdawczego tak licho są obeznani z charakterystyką Warszawy. Przekupka warszawska! Co onaby to przy prostocie swojej i bystrości swojej obserwacyi nie jednemu do ucha powiedzieć mogła, nawet z pomiędzy takich, którzy z wysoka bardzo na przekupkę spoglądają!

Zmarli.

Ś. p. Julian Heppen

Zakończył życie w mieście naszem w dniu 13 Lipca w wieku lat 69. Ś. p. zmarły liczył się do ludzi epoki minionej. Miłością, pracą, upodobaniami, nawykiem nawet życiowym, przypominać on będzie typ dogasający zdaniem jednych—wygasły zdaniem innych. Dziennikarz nie upędzający się nigdy za rozgłosem, a wolny od zawiści stronniczych i koteryjnych—pracownik sumienny—filantrop czynny, który nie mając złota do oddania, oddawał na ten cel wszystkie wolne chwile, jakie mu pozostały od pracy obowiązkowej, w ciągu lat czterdziestu sprawując bezinteresownie urząd sekretarza Towarzystwa Dobroczynności. Od młodości aż do zupełnej utraty sił jednako w tym trudzie gorliwy i wytrwały, zawsze pogodny usposobieniem, cichy i uczynny niezmordowanie.

Zasilał się ś. p. J. Heppen wiele bardzo pism warszawskich, a każde z nich rade było korzystać z jego specyalności, wiadomem było bowiem, że nie miała Warszawa stara, z jej przeszłością, pomnikami i zabytkami skrzętniejszego zbieracza i bieglejszego znawcy. Wszyscy jednomyślnie przyznają mu to znawstwo, ale nie każdy rozumie, że dojście do takich wiadomości musiało mieć koniecznie źródło głębsze i pobudkę podnioślejszą, niż zwyczajną chęć kolekcyonowania dat i faktów.

W ś. p. Julianie Heppenie traci Warszawa jedną z powszechnie znanych, a wielce sympatycznych postaci miejskich. Pokój czystej duszy zmarłego!

Wskazówki i rady.

Suflet z powideł ze słodką śmietanką.

Na cztery osoby ubić 4 żółtka z ćwierć funtem cukru miałkiego, pudru, gdy ubite włożyć pełną łyżkę bardzo dobrych powideł, wlać kieliszek araku i bić jeszcze 15 minut. Białka ubić na bardzo gęstą pianę, wymieszać z massą, wyrzucić na blaszany półmisek, posypać grubo siekanemi migdałami z cukrem krystalicznym i na 20 minut wstawić w wolny piec. Podaje się do tego gęsta surowa słodka śmietanka.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-43

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI
810—50—23 ceny możliwie umiarkowane. LESZNO Nr. 12.

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-18
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH róg *Marszałkowska 136* *Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.* 916—25—2

Marszałkowska 149. 922-12-1 **MAGAZYN MEBLI MAKSYMILIANA KALMUS.** *Marszałkowska 149.*

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-21 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

SKŁAD ŻYRARDOWSKI
w Sosnowicach
przy ul. Modrzejewskiej
917-2-2
w domu H. Pachtera.

Dla Pań malujących
Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład
T. CZARNOCKIEGO
101, Marszałkowska 101,
w WARSZAWIE. 812-50-23

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-5
polecają:
JULJUSZ HEGNER i S-ka
WARSZAWA
Plac Ś-go Aleksandra № 8.

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak i Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—2

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—3
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-31

NANON — najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie. 866—13—8 — NANON
Ф. Sukiennik
Królewska 16.

Była Nauczycielka
przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych.
Fortepian na miejscu. Cena nizka.
Złota 36—33.

Ważne dla pp. Krawcowych!
Kroazy we wszystkich kolorach, Nicianki, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 768-25-18
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-3

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25—21

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego
b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye.
Ceny przystępne. 912—12—3

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **P. v. Reussnera** p. t.

„SAMOUCZEK"

Polsko-Francuzki do nauczenia się po francusku czytać, pisać i rozmawiać, w **2-ch miesiącach bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowaniem. Przy pomocy podręcznika tego mogą się uczyć tak dobrze dzieci, jak również młodzież dojrzalsza, osoby dorosłe, mniej nawet umysłowo rozwinięte, nieznające jeszcze wcale języka francuzkiego i gramatyki polskiej, ale umiejące po polsku czytać, a także i osoby, znające już język francuski pobieżnie Nauka według podręcznika tego jest nadzwyczaj ułatwioną i uproszczoną — Nazwa **„Samouczek"** nie jest czczym tylko tytułem, lecz istotnie treść jego zastosowana jest do tytułu i według podręcznika tego nauczy się po francusku każdy, kto tylko zechce i kto umie czytać po polsku. Główną zaletą tego dzieła są krótkie, jasne, zrozumiałe objaśnienia gramatyczne i łatwe ćwiczenia. Jest to pierwszy, rzec można praktyczny podręcznik obszerniejszy do nauki języka francuskiego, opracowany oryginalnie na podstawie osobistych doświadczeń pedagogicznych autora, zastosowany do ducha języka polskiego i potrzeb miejscowych, gdy tymczasem wszystkie inne dotychczasowe podręczniki podobnego rodzaju, opracowane za granicą, a dopiero tutaj tłómaczone na język polski, mogą być dobre dla niemców i t. p., ale nigdy dla polaków. Że podręcznik ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, świadczy o tem już samo dobre przyjęcie pierwszych zeszytów i wyrażenie zupełnego zadowolenia przez Szan. abonentów tak ustnie, jak i piśmiennie. Dzieło to obejmuje: **Kurs Niższy** 13-cie zeszytów, **Kurs Wyższy** 24-ry zeszyty — razem 37 zeszytów, stanowiących **Część Praktyczno-Konwersacyjną,** i 10 zeszytów **Gramatyki Francuzkiej,** ogółem więc 47 zeszytów po kop 15 (pocztą kop. 18). Numeracya zeszytów idzie kolejno, zatem należy zamawiać w księgarniach zeszyty **podług numerów,** to jest 1, 2, 3, 4 i t. d., aż do 47, a nie podług kursów. **Kurs Wyższy „Samouczka"** z I-ej edycyi nie jest kompletowany w jeden tom, lecz pozostaje w zeszytach, aż do wyczerpania edycyi.

Kurs Niższy tegoż **„Samouczka"** wyszedł już z druku w **Trzeciej edycyi** w 13 zeszytach po kop. 15 (pocztą kop. 18) zaś **Kurs Wyższy w Drugiej edycyi** wyjdzie z druku z końcem 1898, lub w początku 1899 roku.

Na zaliczkę pocztową wysyła się tylko 20, 10, lub przynajmniej 6 zeszytów.

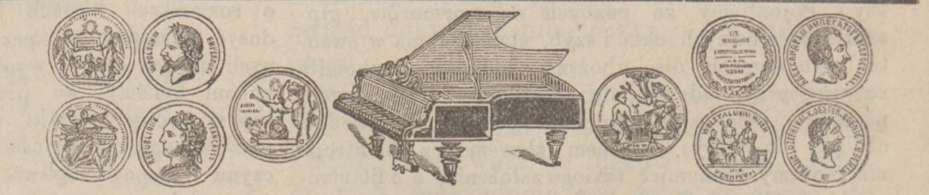
Osoby, nabywające wszystkie 47 zeszytów **„Samouczka"** wprost **od autora,** otrzymają **podarek bezpłatny** t. j. dzieła wartości **rs. 1 k. 20.**

„Samouczek" Polsko-Ruski Kurs Niższy wyszedł z druku w 14 zeszytach po kop. 10, **Kurs Wyższy** zaś zaczął wychodzić zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13). Tak **„Samouczek"** Polsko-Ruski, jak również i Polsko-Francuzki został opracowany jedynie na **wyraźne żądanie** i **domaganie się** Szanownej Publiczności i Pp. Pedagogów.

Skład główny u autora (Reussnera) ul. Złota Nr. 6, w Warszawie.
919—2—1

Używajcie wszyscy Kakao Fruzińskiego.
Kakao Fruzińskiego uznane przez licznych odbiorców za najlepsze w smaku, oraz analizowane przez powagi lekarskie. Nie ustępuje w niczem najlepszym markom zagranicznym, a o połowę tańsze.
897—8—5
Parowa Fabryka Kakao, Czekolady i Cukrów Deserowych
J. Fruzińskiego
Warszawa, Marszałkowska 133. Filia Senatorska 6.
oraz we wszystkich pierwszorzędnych handlach w Warszawie i na prowincyi.

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby z **różnych metali** po możliwie **nizkich cenach.** Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—18



MAŁECKI
Fabryka Fortepianów i Pianin
Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 854—50—12
17. Krakowskie-Przedmieście 17.

SKŁAD MATERYAŁÓW APTECZNYCH
PROWIZORA FARMACYI B. HEIMANA
Nowo-Senatorska 8, obok Placu Teatru — poleca
WODĘ MINERALNĄ
REICHENAUER SALZBRUNNEN
jako orzeźwiający napój stołowy.
Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.
Skład główny na miejscu. 876-12-10

od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—5 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

APTEKA K. WENDY 45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.
873-18-11 Istniejąca od czasów elektorów saskich.
Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Іюля 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Śród tego, tajemnica, szczęśliwym wypadkiem długo tliła pod ziemią. Służba i domownicy, choć jak zwykle bywa, wpatrzeni w pańskie postępki ostrowidzowemi oczyma, tymrazem jednak nie dostrzegali głównej myśli zaprzątającej hrabiego.

Był atoli wzrok, któremu niemogły ujść knowania Wilczka.

Wzrok ten czysto sercowy, łowił niespokojnie przeczucie prawdy, zapuszczał je w piersi, miotał na sumienie, dniem i nocą dręczył Krystynę.

Życie piastunki obracało się tylko na dwóch uczuciach; jednem obejmowała możnego wychowańca, wykarmionego jej piersią, wyhodowanego staraniem,—drugie łączyło ją z jedynaczką Nastusią, prawdziwą jedynaczką, — oprócz nich, nikogo nie miała na świecie.

Krystyna nie umiała wdawać się w rozumowania; długo chodziła szarpana myślą, sen spędzającą z jej powiek, nareszcie pewnego dnia, jak gdyby szala przechyliła się nagle na stronę macierzyńskiego uczucia, oznajmiła Nastusi, że czuje się silnie znękaną, że niepodoła tak wielkiemu gospodarstwu, że przeto, dziś jeszcze chce podziękować Panu za służbę i wynieść się do rodzinnej wioski, do chaty, którą nieboszczka Starościna była jej podarowała.

Nastusia zbladła; długo patrzyła na matkę nieruchomym wzrokiem, wreszcie zatoczyła się do nóg jej i zalała łzami.

Krystyna pokręciła głową; pierwszy raz niepodniosła swego dziecięcia, nie utuliła w płaczu, westchnęła gorzko i odeszła do pokoju hrabiego.

Piastunka wkroczyła nieśmiało, stanęła ze spuszczoną głową, gniotła ruch fartucha, wahała się wymówić słowo; naglona ostatecznie przez Wilczka, który przewidywał niezwykłą odezwę, wyjąkała zamiar podziękowania za służbę w pałacu i... prożbę o pozwolenie pańskie do objęcia darowanej sobie przez Starościnę chaty.

Panicz z początku nie bez wewnętrznego kłopotu starał się odwieść ją od pierwszych postanowień; po chwili jednak, rażony szczęśliwą myślą, powstał i zbliżywszy się ku Krystynie z tym pochlebnym, dziecinnym uśmiechem, jakiemu dawna jego mamka nie umiała nigdy się oprzeć, odrzekł, że uznaje sprawiedliwość powodów, że zatrudnienia pałacowe bezwątpienia były dla niej zbyt uciążliwemi, że wszelako prosi, aby go nie opuszczała, i jeżeli ciężko jej ostać się w pałacu, aby w takim razie przeniosła się do Polanki, folwarku o milę odległego, i tam zatrudniła się kobiecem gospodarstwem. Co do chaty i ogrodu, Wilczek wymagał, aby go przyjęła na swego dzierżawcę; potrzebował tam osadzić na łaskawym chlebie jednego z wysłużonych domowników. Łatwo zgadnąć, że cena dzierżawy w dwójnasób przewyższała wartość ogrodu i chaty.

Krystyna uległa prośbom wychowańcą. Nazajutrz opuściła pałac i z podziwieniem poglądała na Nastusię, która, zamiast wczorajszych łez, z twarzą spokojną, prześwieconą nawet uśmiechem, wybierała się na nową siedzibę.

Wypadek ten rozradował wszystkich w pałacu. Służba niecierpiała Krystyny, której słowa nigdy w panu nie znajdowały oporu, nieograniczone zaś jego zaufanie i szczególna względność zdawały się niesłusznie wynosić prostą chłopkę nad innych domowników, po większej części ze szlacheckiego pochodzenia.

Wilczek zgodził się na oddalenie Nastusi; z pośpiechem nawet pochwycił zamiar Krystyny, nie chciał bowiem wystawiać swego klejnotu na widok gości, zaczynających tłumnie do niego się zgromadzać.

Juljusz, kapitan Skałka i młodzi towarzysze znani nam z popojedynkowego śniadania, zbierali się do pałacu otwartego zawsze dla nich na rozcież, i ukochali gospodarza, który obok szerokiej gościnności, najlepiej umiał wyprawiać angielskim obyczajem polowania, i na całą okolicę najpiękniejsze miał konie.

Wilczek, śród podobnych zjazdów, dzień przepędzał z przyjaciółmi, wieczorem dopiero, gdy zabawa z kniei przenosiła się na zielone stoliki, gospodarz, pamiętny przedewszystkiem na obowiązki właściciela ziemskiego, wymawiał się przed gośćmi potrzebą narady z podwładnymi, koniecznością wydania im rozkazów, i opuszczał na kilka godzin towarzystwo.

Goście, zagłębieni w kartowych kombinacyach, nie cierpieli na jego nieobecności; Wilczek przemykał się przez ogród ku umówionemu miejscu, gdzie poufały jego Anglik, dżokej, czekał już z osiodłanym koniem. Po chwili, dawał się słyszeć tentent w cwał pędzącego rumaka, i tonął w oddali wraz z cieniem niecierpliwego jeźdźca.

Wiemy już, że hrabia był lubownikiem koni i doskonałym ich znawcą, niepotrzeba więc dodawać, że pomimo mili dzielącej pałac od folwarku, w kilkanaście minut spienione zwierzę stało spokojnie przywiązane do drzewa, podczas gdy pan jego tulił do piersi drzącą Nastusię.

Dziewczyna oddalona od miejsc gdzie spędziła życie, w nowej siedzibie, wkrótce wynalazła sobie schronienie przed wzrokiem ludzkim. Tam, skoro tylko słońce skryło się za lasy, z oczyma zwróconemi w siostrzany błękit, zaczepiała myśl o każdą chmurkę, kołysała się duszą z każdą gwiazdką, lub powtarzała w pamięci, opromieniając własną fantazyą, różne piękne rzeczy wyczytane w książkach, jakie hrabia dozwolił jej zabrać z pałacu.

Gdy się już ściemniało, a chór ptasząt i świerszczyków zawiódł nocne melodye, gdy księżyc coraz ostrzejszymi promieńmi przedzierał się do niej przez zroszone liście jarzębin i leszczyny, a kwiaty drżały miłośnie na swych łodygach i dyszały balsamicznymi oddechy, Nastusia wtedy całą duszą przepadała w tej harmonii dla niej tylko zrozumianej, ale do której brakowało jeszcze jednego tonu, — najsilniej chwytającego za serce.

Tonem tym był znajomy tentent wypuszczonego konia. Zrywała się gwałtownie, byłaby chciała wybiedz naprzeciw jeźdźca, ale nie miała siły kroku naprzód postąpić, tchu jej niedostawało, za lada poruszeniem zdawawało się jej, że upadnie,—jakoż wistocie, upadała w objęcia Wilczka.

Pierwsze wzruszenie przemijało: Nastusia zarzucała gościowi białe rączki na szyję, głowę tuliła do jego piersi, i dopieroż mu rozpowiadała o swoich małych niepokojach, o smutkach, o niecierpliwości z jaką go wyglądała, o rozkoszy spotkania, o tęsknocie odjazdu. Dobrze jeszcze na wiosnę, ale gdy minie lato i jesień, gdy słoty i mrozy nastąpią, szczęście jej wraz z kwiatami zginie pod śniegiem, nie przystoi bowiem na Pana, aby pod nędznym słomianym dachem, przesiadywał z wiejską dziewczyną.

Ostatnia uwaga szczególnie zastanawiała Wilczka; rzeczywiście był to ważny wzgląd, ciężka przeszkoda; hrabia nie mógł długo nad nią się zatrzymywać, umyślił usunąć ją jednem skinieniem ręki, jednem brzęknięciem kiesy.

Młody panicz przesuwał się po drodze życia, jako zepsute dziecię ludzi i losu. Dotąd, niczego sobie jeszcze nie odmówił, i dogadzanie to swoim popędom uważał za jedyne prawo bytu. W mgnieniu oka, rozbłysła w nim myśl zakończenia raz na zawsze tych schadzek, których niewygodną tajemniczość uważał za ubliżającą własnej godności. Nie chciał mieć widnokręgu niebios za świadka rozmów z Nastusią, nie wypadało mu otwarcie przyjeżdżać do folwarku, niepodobna było sprowadzać dziewczynę do pałacu; — Wilczek chwycił się jedynego sposobu, jaki mu pozostawał.

O kilka staj od pałacu ciągnął się gęsty jodłowy lasek, przez środek przekrojony rzeczułką, która w jednem miejscu rozdzierała się na dwa ramiona i objąwszy małą wysepkę, po chwili znowu łączyła szparkie swoje nurty.

Ustronie to leżące w tyle ogrodów, w kierunku przeciwnym wiosce i dworskim zabudowaniom, zdala od wszelkich dróg wiodących do pałacu, było prawie niedostępnem, i stąd przez domowników nawet nieuczęszczanem.

Wilczek kazał brzeg rzeczułki i wysepki pozasadzać conajgęstszemi krzewy, we środku zaś, jakby czarodziejską mocą, we dwa miesiące stanął domek, do którego Wiedeń dostarczył najwymyślniejszych wyrobów swego zbytku.

Hrabia miał wiele fantazyi, wiele smaku, wiele miłości własnej; nie szczędził złota, nie cierpiał w niczem niezupełności, pamiętał opisy różnych czarownych domków wyczytane w romansach francuskich, gorliwie zajął się wszelkimi szczegółami, a gdy dzieło było gotowe, sam z podziwienia klasnął sobie

w dłonie, z uśmiechem sam się w niem przejrzał.

Wilczek wcale nie wspominał o swoich zamiarach Nastusi; dopiero gdy domek stanął, gdy sprzęty, stroje i inne zbytkowne wymysły poprzychodziły z Wiednia—o zwykłej późnej porze schadzek z dziewczyną, kazał tym razem zaprządz do kabrjoletu i udał się do Polanki.

Wbrew zwyczajom angielskim, obok hrabiego, nie rozpościerał się żaden dżokej, stosownie do rozkazu mody, trącając go w lewy łokieć wierzchem kapelusza. Wilczek jechał sam, z powrotem dopiero tuliła się ku niemu biała, niewieścia postać, ale snać koń nie czuł podwójnego ciężaru, gdyż suwał sarnimi skoki, strzygł uszyma, parskał trwożliwie, jak gdyby złego ducha za sobą unosił. A przecież, pan jego, śród pędu, dzwonił miłosnemi tylko słowy, namiętne tylko rzucał spojrzenia na lice swojej sąsiadki, blade od srebrnych promieni księżyca, zroszone łzami i błyskające uśmiechem.

Wilczek wprowadził dziewczynę,—śpiewnego skowronka — do złoconej klatki; zawczasu cieszył się zdziwieniem, jakie w niej wywoła pierwszy widok przepychu; — ona na nic nie zważała, ona, jego samego widziała tylko przed sobą.

Nazajutrz w folwarku, — Krystyna wystraszyła się nieobecnością Nastusi. Z oczyma pełnemi łez z sercem silnie bijącem, obiegła wszystkie kąty, w obawie czyli córeczka nagle gdzie nie zasłabła podczas zwykłych, późnych przechadzek; — nadaremnie szukała jej po całym ogrodzie, próżno rozchylała krzewy, wbiegała na pagórki,—Nastusi nigdzie nie było.

Krystyna przypomniała sobie, że wczoraj w nocy, właśnie gdy domawiała pacierza, doleciał ją daleki turkot kół, które oczywiście nie należały do wiejskiego wozu. Stanęła wyprostowana, skamieniała, łowiąc dźwięki uchem, czyli jeszcze gdzie tego turkotu nie dosłyszy—dokoła było głucho; wieśniaczka załamała ręce, zalała się łzami i padła na ziemię.

Za pierwszą boleścią, biedna matka odgadła całą prawdę.

Na folwarku, tego dnia, nikt nie widział Krystyny; wieczorem dopiero przyszła gospodyni, ale taka blada, taka zngkana, jak gdyby tylko co podniosła się była z długiej choroby. Mówić nawet nie mogła; zabrała swoją skrzynkę i dwa zawiniątka, poprosiła ekonoma o wózek, i odjechała do swojej chaty, darowanej przez nieboszczkę Starościnę, w Zawałowie, aż o trzy mile za Polanką.

Ludzie, wieczorami jakiś czas gwarzyli o tym wypadku, naśmiewając się to z Krystyny, to z jej córki waryatki, która fartucha nawet obrąbić nie umiała, ale później, jak to zwykle bywa na wsi, gadali, gadali i wreszcie zaprzestali.

Wilczek odtąd żył w upojeniu.

Tak minął pierwszy rok pobytu Wilczka na wsi.

Nastusia dziwnie wypiękniała. Dla niej bezmiar ten szczęścia owionięty cichym jakimś smutkiem, wcale nie był niespodzianym. Przypominała sobie dokładnie, że dawno, bardzo temu dawno, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, różne sny na nią zstępowały, a w tych snach widziała wierne odbicie teraźniejszego jej bytu, że wysłuchiwała gwaru kwiatów między sobą, a w tym gwarze dochodziły ją dźwięki podobne do tych, jakimi się poiła, gdy młody pan złożywszy głowę na jej piersiach, podzwaniał jej półgłosem miłosne wyrazy.

Życie dziewczyny roznurtowało się na dwa strumienie: jeden niewysłowionego szczęścia, wartko pędzący chwilami przeżytemi z kochankiem; drugi cichego smutku, oczekiwania i tęsknoty za umiłowanym.

Nastusia, oprócz Wilczka i kobiety zdala przywiezionej, a przeznaczonej do jej usług, nikogo więcej nie widywała.

Odosobnienie to wcale nie było jej przykrem; przeciwnie,— za nic w świecie nie byłaby go przerwała.

Trafem urodzona pod wieśniaczą strzechą, musiała porzucić życie niezgodne z naturą jej ducha. Z rodzinnych miejsc uniosła tylko prostotę i raj złoto-błękitnych wspomnień jakiegoś bytu, którego pamięcią nie mogła zasięgnąć, a który jednak w chwilach oderwania od rzeczywistości, wyraźnie rysował się przed jej umysłem.

W długich, samotnych godzinach, Nastusia wracała do dawnych upodobań i z uniesieniem chwytała książki, jakie Wilczek, na jej prośby, czasami z miasta przywoził.

Skoro powieść lub zabawna historya wpadała jej pod rękę, dziewczyna cicho przebiegała ją wzrokiem, a licem odbijała wrażenia o jakich autor marzył dla swoich czytelników. Niekiedy, odrywała oczy od pisma, zatapiała je w błękicie, jak gdyby pragnęła uwić z obłoków postacie świetnie promieniejące przed jej wyobraźnią, lub łzami zalewała się nie mogąc odwrócić śmiertelnego ciosu, pod którym ginął piękny jaki bohater, zabity przez złych ludzi za to, że był dobry, szlachetny i mężny.

Gdy inną książkę brała do ręki, książkę ułożoną jako piosenki bywają układane, gdzie każdy wiersz zaczynał się od wielkiej litery, Nastusia przerywała milczenie i jakimś rozkołysanym głosem niepodobnym ani do śpiewu ani do mowy, łowiła tę lubą harmonię ujętą wieszczem natchnieniem, która, wtedy nawet, gdy wyrazy znikły z przed oczu, długo jeszcze dźwięczała jej w uszach, głaskała po sercu, bawiła się z pamięcią. Dziewczyna, o zmierzchu wyszedłszy według zwyczaju błądzić nad rzeczką, z tychże samych tonów powiązanych własnem jej czuciem, układała i nuciła jakieś swoje piosnki, takie dla niej uko chane, że po całych dniach i nocach jej nieopuszczały, a takie wdzięczne za uśmiech z jakim się nad niemi dziwowała, że później, na długo nieraz rzucone w zapomnienie, na pierwszy wyzyw stawały przed jej pamięcią, zawsze jednako różowe i świeże.

Nastusia tembardziej je polubiła, że bawiły Wilczka, gdy mu je powtarzała, lubo młodzieniec zawsze jej przymawiał, że musiała gdzieś ich się wyuczyć, i dziwił się, że przy doskonałej pamięci do wierszy, tak łatwo zapominała, skąd ich się wyuczyła. On nimi się bawił, ona rada na tem poprzestawała i niezachodziła z nim w dłuższe spory.

Tak upłynął Wilczkowi dość znaczny przeciąg czasu.

Tym razem hrabia, byłby daleko dłużej jeszcze zachwycał Lwów swoją obecnością, gdyby nie sprawa pojedynkowa, gwoli której ujrzał się zmuszonym do bezzwłocznego opuszczenia miasta.

Wilczek tego dnia, więcej niż kiedykolwiek wiózł dla Nastusi podarków. Zniewolony do rozstania się z przyjaciołmi, w bachicznym szale zaprosił ich wszystkich do siebie, i w kilkanaście godzin po strzemiennym kielichu zajechał do domu.

Na nieszczęście, nie mógł natychmiast pobiedz na wysepkę; wpadł odrazu w ręce rządcy, który oczekiwał go z niecierpliwością, pragnąć usprawiedliwić się ze zwłoki, jakiej pan hrabia kilkakrotnie doznał w przesyłce żądanych funduszów.

Wilczek cierpliwie wysłuchał długiego sprawozdania, tem mniej ciekawego, że w żadnym szczególe nie znalazł dla siebie pociechy, poczem odprawił niewczesnego doradcę, i spiesznym krokiem ruszył do Nastusi.

Dziewczyna stała na progu; odgłos znajomych kroków oddawna ją był doleciał. Gdyby Wilczek był szedł równie prędko, jak biło jej serce, oddawna byłaby mu już zawisła na szyi.

— Mój panie — rzekła przytłumionym głosem, cała drżąca jeszcze od pocałunku, jaki młodzieniec złożył na jej wybladłych jagodach — biedna ja, — przecież się doczekałam.

— Mój Panie?...— przerwał Wilczek— skądże znowu moja luba tak mię dziś tytułujesz, ty raczej jesteś prawdziwą moją Panią, a ja przecież po imieniu cię tylko nazywam. Czy mię już nie kochasz Nastusiu? — mówił dalej, wpatrując się w jej błękitne oczy i prowadząc ją do ostatniego pokoiku, który oświetlony, starannie ozdobny w kwiaty, zdawał się oczekiwać na jego przyjęcie.

— A cóż ja mam innego do roboty na świecie? — odrzekła rozpromieniona tem zapytaniem dziewczyna;— powiedziałam mój Panie, dlatego, że jak cię długo, mój miły, nie widzę, zdaje mi się, że zapomniałeś już o mnie, że ci uprzykrzyła się wieśniaczka z twojej wioski. Wtedy, sama nawet przed sobą kiedy myślę o tobie, panem cię nazywam i kiedy cię znowu oglądam, nie śmiem po dawnemu się odezwać.

— Szalone dziecko! nie pojmuję skąd ci podobne myśli przychodzą do głowy, albo może i za nadto pojmuję? Moja w tem wina, zostawiam cię samą jedną, nikogo nie widujesz z nikim nie rozmawiasz, nudzisz się więc...

— Nudzę się?... o nie! ja nigdy się nie nudzę, ja nigdy nie jestem samą.

— Jakto, Nastusiu? któż tu u ciebie bywa?

(Dalszy ciąg nastąpi).